

Kirył Bułyczow - Guslar - Neapol

Szary brzask zastał Korneliusza Udałowu na zarośniętym krzakami brzegu rzeczki Czurmień, wpadającej do jeziora Kopenhagen. Udałow położył wędki na trawie i rozejrzał się. Pusto. Ani śladu żywej duszy.

Pogoda była paskudna, wilgotna i grypowa, więc wszyscy wędkarze postanowili widocznie siedzieć w domu. Tym lepiej. Więcej będzie dla Korneliusza.

Rozplątał żyłki, założył przynętę i zarzucił pierwszą wędkę. Wokół spławika rozeszły się kręgi wody, gdzieś niedaleko chlupnęła ryba. Czuł się świetnie, potężniała w nim żądza czynu.

I nagle Udałow zobaczył dym. Dym unosił się nad lasem w odległości mniej więcej pół kilometra. Widocznie ktoś, kto przyjechał tu jeszcze wczoraj, rozpałił ognisko.

Po godzinie, w czasie której złapał niewielkiego leszczyka, Udałow rzucił okiem w stronę ogniska. Płonęło dalej. Słup gęstego dymu sięgał nisko wiszących chmur, gdzie rozganiał go mokry wiatr.

- Żeby tylko lasu nie podpalili - powiedział Udałow cicho, nie chcąc płoszyć ryb.

Minęła jeszcze godzina. Ognisko paliło się w dalszym ciągu, a słup dymu jakby jeszcze urósł.

Koło jedenastej Udałow pozbiierał wędki, wziął wiaderko ze złowionymi rybami - nie było ich tak wiele, jakby się Korneliuszowi marzyło - i poszedł w stronę dymu, choć do szosy trzeba było iść w zupełnie innym kierunku. Dym niepokoił go.

Droga była trudna. Wędziska zaczepiały się o leszczynowe witki, kalosze ślizgały po mokrej trawie. Grupki kurek i samotnie stojące muchomory w przyjemny sposób ożywiały ogólnie ponury krajobraz, ale Udałow nie wybrał się na grzyby, i te jaskrawe plamy uchodziły jakoś jego uwagi.

Przeszedł już prawie kilometr, a dym jakby wcale się nie zbliżał. Mocno go to dziwiło.

Rzeczka została daleko w tyle. Trzeba było skakać z kępy na kępę. Udałow żałował, że nie zostawił wędek nad wodą. Przejdę jeszcze sto kroków, powiedział sobie, i jeżeli nie dojdę, zawracam.

W tym momencie z nieba posypał się popiół.

Udałow nie od razu domyślił się, że to popiół. W pierwszej chwili zwrócił uwagę na to, że pada dziwnie brudny deszcz. Krople pozostawiały na twarzy i ubraniu szare plamy, zupełnie jakby z nieba padał ptasi pomiot. Zauważywszy, że brud leci od ogniska, Udałow uświadomił sobie, że pali się las i lepiej stąd jak najszybciej uciekać, póki jeszcze jest cały i zdrowy, a jak z miasta przyślą helikopter, to się w tym wszystkim połapia,

Zatrzymał się i po raz ostatni spojrzął na dym. Dym zakrywał już pół nieba.

Rozdarty wewnątrz między strachem a ciekawością, zrobił jeszcze parę kroków.

Stał na skraju wielkiej błotnistej polany, której brzegi porośnięte były czarnymi jagodami. Ze środka walił w niebo słup dymu. Ale ogniskiem nie pachniało tu nic. To musiało być zupełnie inne zjawisko przyrodnicze.

Na środku polany wznosił się niewielki wulkan. Nie sięgał jeszcze wierzchołków drzew, ale tak na oko przypominał potężne i groźne wulkany Jawy i Kamczatki. Strugi lawy płynęły po jego pofałdowanym zboczu, a nad kraterem huczał stabilny płomień, tak jakby w środku palił się prymus.

Widok wulkanu nie przeraził Korneliusza. Niejedną dziwną rzecz przyszło mu w życiu oglądać. Ale serce Udałowa wypełniło się podziwem dla wszechmocy natury. Przysiadł na zwałanym pniu sosny i zaczął się przyglądać wulkanowi.

Przedtem nie udało się zaobserwować wulkanów w okolicy Wielkiego Guslaru. Rejon jest asejsmiczny i o żadnych erupcjach i trzęsieniach ziemi mowy być nie może. Ale przecież w sumie tam, gdzie teraz wznoszą się dyszące ogniem góry, rozciągały się kiedyś spokojne równiny...

Obdarzony żywą fantazją Udałow wyobraził sobie, jak wulkan rośnie, potężnieje, robi się ogromny jak góry Kaukazu, grzebie pod warstwami wulkanicznego popiołu Wielki Guslar, którego mieszkańcy uciekają z miasta, tuląc do piersi nieletnie dzieci i skromną chudobę, starając się ukryć pod prześcieradłami i płaszczami, podobni nieszczęśnikom, namalowanym przez artystę Briułłowa na obrazie "Ostatni dzień Pompei". Przy czym najbardziej mu było żal nie miasta, ale siebie samego, Korneliusza Udałowa, kierownika Miejskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego... Gdyby bowiem wiedział wcześniej, jaki los czeka Wielki Guslar, nie musiałby walczyć o przekroczenie planu w asfaltowaniu. Ale z drugiej strony Udałow rozumiał, że obecność wulkanu na równinie środkoworosyjskiej daje wspaniałe możliwości nauce i pozwoli zaoszczędzić wiele państwowych pieniędzy - teraz, kiedy prawdziwy wulkan będzie sobie stał na wyciągnięcie ręki, nie trzeba będzie wysyłać specjalistów na jakże odległą Kamczatkę.

Wulkan jęknął i wyleciała z niego fontanna pomarańczowych iskier. Udałow poczuł, jak wdziera mu się w nozdrza zapach rozpalonych trzewi Ziemi. Podniósł się, żeby móc w razie czego szybko uskoczyć. Wulkan wypłuł wielki okrągły kamień, który poturlał się po zboczu. Kamień upadł w błoto, a woda zakipsiała i otoczyła go kłębamii pary.

Ileż istnieje możliwości wykorzystania w gospodarce wulkanicznego ciepła, myślał wstrząśnięty głęboko Udałow. Na przykład do prania bielizny...

Wulkan wypluł jeszcze kilka kamiennych kul. Pomarańczowe płomyki wirowały nad jego szczytem. Dosięgnie zaraz górnej granicy lasu i wtedy na pewno zauważą go w mieście.

Nie, wulkan wcale nie był straszny. Działał leniwie i bardzo pięknie. Popiół zmieszany z deszczem osiadał na płaszczu Udałowa i ten pomyślał o wszystkich nieprzyjemnych słowach, jakie przyjdzie mu wysłuchać w domu. Ksenię raczej mało obchodzi wulkany i inne przyczyny obiektywne...

Płomień nad wulkanem rozjarzył się, lśniąc zielonkawo i biało, a Korneliuszowi wydało się, że w jego blaskach igrają ogniste jaszczurki. No tak, myślał Udałow, ludzie pierwotni wpatrywali się w ogień, aż wymyślili diabła... Buchał żar, płaszcz Korneliusza obsechł.

Co jakiś czas z krateru wylatywały kamienie, ale póki co nie zagrażały jeszcze Udałowowi. Gdzieś tam w środku, pod nogami, rozległ się głuchy huk i ziemia lekko zadrżała, tak jakby ogromne zwierzę usiłowało się wydostać na swobodę.

Udałow nie mógł zdecydować się na odejście od wulkanu. W czasie jego nieobecności ktoś inny może zauważyć wulkan i zebrać laury jego odkrywcy. To byłoby niesprawiedliwe. Lepiej poczekać, przekonywał sam siebie Udałow, aż z miasta przyleci helikopter, popilnuję, żeby las się nie zapalił.

Strzępki ognia tańczyły i wirowały jak żywe nad szczytem wulkanu i patrząc na nie Udałow wyobraził sobie, że gdzieś tam, we wnętrzu rozpalonej ziemi, żyją dziwne ogniowe istoty. Kiedyś właśnie one były panami Ziemi i krążyły jak iskry nad jej rozżarzoną powierzchnią, ale kiedy Ziemia ostygła, musiały zamieszkać w jej wnętrzu. A właściwie dlaczego nie? Przecież formy życia są tak różnorodne... Trzeba by nawiązać z nimi kontakt, pogadać, co i jak, wymienić informacje. Przecież dla tych wewnętrznych mieszkańców Ziemi wulkany to okna na świat. Być może nawet nie podejrzewają, że na powierzchni ktoś żyje. ~r może sądzą, że ludzie to uzurpatorzy, bo Ziemia wedle starego prawa należeć powinna do mieszkańców wulkanów. I kiedy tylko mają możliwość, wyskakują w potokach lawy i palą ludzi, tylko po to, żeby udowodnić swoje prawa.

Białe ogniki wciąż wirowały nad kraterem. Udałow, który już zdążył je uznać za mieszkańców wulkanu, powiedział głośno:

- No, jeszcze nie wiadomo, kto był na Ziemi pierwszy. Być może Ziemia była najpierw zimna, a dopiero potem się rozgrzała. Jest taka teoria.

Liczba białych ogników zwiększyła się. Udałow naliczył ich coś z dziesięć. Trudno było określić ich kształt - ale jaki właściwie kształt może mieć płomień?

- O co chodzi? - zapytał Udałow. - Dajcie przynajmniej jakiś znak.

No i dały. Ustawiły się w zgrabne kółeczko. Po chwili kółeczko się rozsypało.

Aby pokazać, że wszystko zrozumiał, Udałow narysował palcem kółko.

Wtedy płomieniaki ułożyły się w krzyż.

Udałow narysował w powietrzu krzyż.

Kontakt zaistniał! Wulkan sapał i rozżarzał się.

Żeby ostatecznie przekonać Udałowa, płomieniaki ułożyły się na moment w trójkąt równoramienny, co w żadnym wypadku nie mogło być igraszką natury, a świadczyło o ich rozumie i pojętności.

- I co dalej? - zapytał Udałow. - Kontakt bezpośredni nie wchodzi w rachubę. Mówiąc uczciwie, nie wytrzymałbym tego bez azbestowego ubrania. A ogólnie rzecz biorąc, chciałbym uścisnąć wasze dłonie na dowód braterstwa w przyrodzie.

Wtedy płomieniaki przy pomocy swych kolegów, którzy wyskoczyli właśnie z rozpalonego gardła wulkanu, ułożyły napis SOS. I Udałow zrozumiał:

- Ratujcie nasze dusze - powiedział. - Znana na całym świecie prośba o ratunek. No cóż, nie wy pierwsi zwracacie się z czymś takim do mnie. Nigdy nie odmówiłem!

I rozsiadł się wygodnie, oczekując, co jeszcze wymyślą płomieniaki na okoliczność kontaktu z ludzkością.

W kłębie ogników błysnęło coś ciemnego. To coś wyleciało z wulkanu i wylądowało u nóg Udałowa. Była to kula o średnicy jakichś dziesięciu centymetrów, błyszcząca i rozpalona. Kręciła się i syczała.

- Nie wybuchnie? - zapytał Udałow.

Ale płomieniaków już nie było. Ogień nad kraterem zmniejszał się i wygasał. Korneliusz zrozumiał, że jego obawy, iż pod bokiem Wielkiego Guslaru wyrośnie góra potężna jak szczyty Kaukazu, są pozbawione podstaw.

Wulkan zdychał. Huk i drżenie ziemi . skończyły się. Zaczęło lać. Udałow zebrał się na odwagę i podszedł do kuli. Po dziesięciu minutach można ją było wziąć do ręki, przrzucając jak gorący kartofel z dłoni na dłoń.

Kulę otaczał czarny paseczek. Kiedy wystygła, Udałow próbował ją rozkręcić, sądził bowiem, że w środku może być coś ciekawego. Ale nagle usłyszał nad sobą lekki trzask i w strugach deszczu zmaterializował się helikopter.

Badaniem kuli Korneliusz zajął się w domu. Cały w nerwach czekał, aż jego żona, Ksenia, którą opowieść o wulkanie w okolicach miasta wcale nie wzruszyła, natomiast zabrudzony popiołem płaszcz ukochanego męża doprowadził do prawdziwie krasomówczych wystąpień, położy się spać. Udałow poszedł do kuchni, zapalił światło i na kuchennym stole rozkręcił kulę. Z kuli wyskoczyła sprężyna, która napędziła Korneliuszowi porządnego stracha. Sprężynka, zrobiona z wąskiego płaskiego pasemka jakiegoś metalu, rozwinęła się i spoczęła na kuchennym stole. Na sprężynce był napis następującej treści:

Prośba. Przekazać zawartość kuli do krateru wulkanu Wezuwiusz (Italia). Cierpimy z niedogrzaniami. Są ofiary.

Udałow przeczytał posłanie. Potem schował sprężynę do kieszeni marynarki narzuconej na podkoszulek.

Tak, nie jest im lekko. Rzeczywiście są nie dogrzane, pomyślał. Być może zostało im wszystkiego dwa, trzy tysiące stopni... Udałow nie potrafił powstrzymać uśmiechu, kiedy pomyślał, że przy , takiej temperaturze płomieniaki trzęsą się z zimna.

No cóż, trzeba stworzeniom pomóc. A jak to zrobić? Przecież płomieniaki starały się, znalazły Udałowa, może na ten cel zużyły ostatnie ciepło z wulkanu? Ale jak teraz przesłać kulkę do Włoch? Wysłać pocztą pod adresem Włoskiej Akademii Nauk? Poprosić jej członków, żeby list od radzieckich mieszkańców wulkanu przekazali włoskim mieszkańcom wulkanu? Najprawdopodobniej włoscy uczeni stwierdzą, że w Związku Radzieckim wariatów nie brakuje... Ostatecznie na ich miejscu Udałow pomyślałby tak samo. Nie, nie ma innego wyjścia. Trzeba samemu jechać do Włoch.

Rankiem, niewyspany po spędzonej na rozmyślaniach nocy, Udałow powiedział do Kseni:

- Słuchaj, Ksiusza, co sądzisz o mojej podróży za granicę?

- Piłeś wczoraj? - zapytała Ksenia.

- Mówię poważnie.

- Ja też!

Ksenia Udałowa planowała na niedzielny poranek wielkie pranie i pomysły Korneliusza, które niczym dobrym dla domu skończyć się nie mogły, działały jej wyraźnie na nerwy.

- Na przykład do Włoch - powiedział Udałow. - Do Rzymu, a nawet Neapolu. Miasta milionerów.

- Jakesz milioner, to jedź! - rzuciła zgryźliwie. - Maksymce trzeba kupić spodnie. Ten chłopak niemiłosiernie wszystko drze.

Udałow tylko westchnął. W sumie nie oczekiwał niczego innego. Ale poddawać się nie miał zamiaru. Zszedł więc piętro niżej do swego starego druha, Aleksandra Grubina.

- Cześć, Sasza - przywitał Grubina, który w chwilach wolnych od zajęć rył pracowicie w ziarnku ryżu "Pieśń o wieszczym Olegu". Jakie jest twoje zdanie na temat życia we wnętrzu Ziemi?

Grubina nie odrywając się od okularu mikroskopu, odpowiedział krótko:

- Pozytywne.

Grubin odnosił się pozytywnie do każdego życia. Niech sobie ono nawet będzie we wnętrzu Ziemi, na Marsie czy w Rowie Mariańskim.

- Wczoraj byłem na rybach - powiedział Udałow. - Nad Czurmienią. I nagle zobaczyłem wulkan.

- To niemożliwe! To nie jest rejon wulkaniczny!

- Nie kłóć się! - twardo powiedział Udałow. - Jak mówię wulkan, to wulkan. Już go odkryli. Nie dziś, to jutro będą tam uczeni. Z Kamczatki.

- Czynny?!

- Jasne, że czynny! A jak bym go znalazł? - zdziwił się Udałow. Dopiero kiedy odchodziłem, to zgasł.

- I nic mi nie powiedziałaś?

- Stary, wybacz, tu nie chodziło o ciebie.

- Nie rozumiem?

- Po prostu płomieniaki prosiły mnie, żebym coś dla nich załatwił.

- Płomieniaki???

Grubin wstał i rozprostował się na całą swoją wysokość. Wydawał się zresztą jeszcze wyższy niż był, a to z powodu chudości i potarganej czupryny.

- Ja je tak nazywam. Te, co mieszkają w wulkanie.

- Przecież nikt nie może mieszkać w wulkanie!

Grubin próbował się jeszcze spierać. Jego zdrowy rozsądek buntował się przeciw opowieści Udałowa. Chociaż bardzo by chciał, żeby w wulkanie ktoś mieszkał.

- Mieszkają w wulkanie. I strasznie marzną - upierał się przy swoim Udałow. - Coś im tam w ogrzewaniu nawaliło. Prosiły mnie, żebym pojechał do Włoch. Tam niedaleko Neapolu jest wulkan Wezuwiusz. Słyszałeś o tym? Trzeba, żeby tamci z Włoch podrzucili naszym węglem.

- Poczekaj! A jakie one są, te płomieniaki?

- Płomieniaki? Jak ci to powiedzieć? Takie jak białe płomyki. Szybko biegają. I zmieniają kształty.

- A może ich wcale nie było?

I wtedy Udałow wyjął kulę.

- A to widziałeś?

Rozkręcił kulę, a kiedy wyskoczyła z niej sprężynka, Grubin podskoczył. Udałow uśmiechnął się, bo już zdążył zapomnieć, jak w nocy sam się tej sprężynki wystraszył.

- Przeczytaj! - powiedział do Grubina.

Kiedy wreszcie Grubin uwierzył, że we wnętrzu Ziemi żyją istoty rozumne, przyjaciele zasiedli pisać podanie, w którym uprzejmie prosili, aby im, jako przodującym pracownikom, przyznano za gotówkę dwa turystyczne skierowania do Włoch. Napisawszy owe podania, zaopatrzyli je w odpowiednie pieczęcie, opinie, a nawet prośby o dopłatę z funduszu związków zawodowych, i wszystkie te papiery wysłali do władz wojewódzkich. Teraz pozostawało tylko czekać.

Po trzech miesiącach przyszła odpowiedź. Przez całe trzy miesiące Udałow i Grubin bardzo się denerwowali, chodzili do lasu, żeby sprawdzić, czy wulkan się nie przebudził, ale wulkan dawno już zamienił się w sterczący z błota wzgórek i trudno sobie było nawet wyobrazić, że w rozżarzonej kraterze żyją płomieniaki.

Udałowowi udzielono odpowiedzi pozytywnej. Jeżeli chodzi o Grubina, zaproponowano, aby poczekał jeszcze rok, bo liczba skierowań jest ograniczona. Tak więc Grubina wprost usychając z rozpaczy, ostatniego dnia przed wyjazdem Udałowa zwrócił się do przyszłego globtrotera tymi oto słowy:

- Posłuchaj, Korneliuszu! Wiem oczywiście, że skierowanie jest, imienne i nie mogę pojechać zamiast ciebie, choć polecenie płomieniaków wypełniłbym na pewno lepiej!

- A to dlaczego? - zdziwił się Udałow. - Nawet na oczy ich nie widziałeś! One mogą ci po prostu nie dowierzać. Przecież wybrały mnie!

- Byłeś pod ręką, to wybrały - wzruszył ramionami Grubina który chciał mówić zupełnie o czymś innym.

- Nie, nie sądzę - odparł Udałow. - Jestem prawie przekonany, że dopasowały porę erupcji do czasu mojej wyprawy na ryby.

- Nie to miałem na myśli - powiedział Grubin. - Sądzę, że spełniamy obowiązek wobec nauki.

- Co proszę?!

- Powinniśmy poinformować akademię nauk o spotkaniu z płomieniakami.

Udałow usiadł na walizce, żeby ją zamknąć, i ironicznie przymrużył oczy:

- Gdyby sobie tego życzyły, powiedziałyby mi o tym. Widocznie uważają, że jest na to jeszcze za wcześnie. I sądzę, że jeżeli, godnie wypełnię powierzone mi zadanie, to będzie dalszy ciąg. Dzięki mojej osobie pozostanie im wiara w ludzkość.

- I co z tego?

- A czy ty w ogóle sobie wyobrażasz, ile jest w środku Ziemi pożytecznych kopalin? Pokażą je nam. A do tego mogą dla nas pracować w najgorętszych miejscach.

Kiedy grupa turystyczna dotarła do Neapolu, proces zaprzyjaźnienia się Korneliusza Udałowa z przewodnikiem był już mocno zaawansowany. Carlo, młodzieniec wątlej dość postury, był studentem rusycystyki, a w lecie dorabiał sobie, oprowadzając turystów. Plan wycieczki nie przewidywał wspinania się na Wezuwiusz i dlatego dobre stosunki z przewodnikiem mogły się bardzo Korneliuszowi przydać.

Przed obiadem cała grupa obejrzała sobie Zatokę Neapolitańską. Nad Wezuwiuszem wznosił się pióropusz dymu. Rozmawiano o losie Pompei, lecz Udałow widział nie Wezuwiusz, ale swój niewielki wulkan, nad którym unosiła się taka sama strużka dymu. Na wieczór załatwione były bilety na występ pewnego neapolitańskiego śpiewaka i między obiadem a śpiewakiem było trochę wolnego czasu. Upragniony przez Korneliusza Wezuwiusz zaglądał prawie przez hotelowe okno. Korneliusz aż dygotał z niecierpliwości.

Dopadł w korytarzu studenta Carla i powiedział:

- Chodź, burzuj! Chłapniemy jednego!

Student klasnął w dłonie:

- Nie można. Jeszcze jest dzień! Dopiero po teatrze.

- Po teatrze też. Jasna sprawa - odpowiedział na to Udałow. No, wchodź!

A ponieważ jego głos brzmiał twardo i zdecydowanie, student tylko spojrzął na krzepkiego radzieckiego turystę i posłusznie wszedł do pokoju.

- No - powiedział Udałow, nalewając kieliszek z przywiezionej butelki. - Pij!

- A ty?

- Ja też wypiję.

Udałow doszedł do wniosku, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby się ciut, ciut napić.

- Mam do ciebie prośbę - zwrócił się do Carla, nalewając mu drugi kieliszek. - Skoczmy na Wezuwiusz!

Carlo posłusznie wychylił kielich do dna, postawił oczy w słup i coś niezrozumiale zamamrotał po włosku. Potem odezwał się po rosyjsku:

- Na Wezuwiusz nie można.
- Czemu?
- Niebezpiecznie.
- Zostaniesz na dole.
- Nie, nie można.
- Czemu?
- Nie ma czasu.
- Weźmiemy taksówkę.
- Radziecki turysta jest niezbyt bogaty - zauważył przezornie Carlo.
- Przecież wiesz, studencie, że nie robiłem żadnych zakupów. Nawet żonie nic nie wiozę. Chcę spełnić marzenie całego swego życia - spojrzeć z bliska na wulkan. Wszystkie pieniądze, jakie zostaną po zapłaceniu taksówki, są twoje.
- O, co to, to nie! - powiedział Carlo, który był zacnym młodzieńcem.
- Pij - zapraszał Udałow, dolewając z butelki.
- Pieniądze, nie! - powiedział student i wypił.
- Pokój i przyjaźń - załagodził Udałow. - Jedziemy!

Carlo dopił i pojechali taksówką, a Udałow wpatrywał się w licznik błagając go w duchu, aby nie obracał się tak szybko.

Taksówka oczywiście nie dojechała do szczytu. Trzeba było wysiąść. Udałow pognął po wydeptanej ścieżynce na wierzchołek.

Carlo szedł za nim i przekonywał, że dalsza droga jest niebezpieczna. Krok Udałowa świadczył jednak o takiej determinacji, że Carlo coś tylko wykrzykiwał na temat Matki Boskiej i dreptał za Korneliuszem, dziwiąc się mocno, jak ekscentryczni potrafią być przybysze ze Związku Radzieckiego.

Był upał, powietrze ciężkie jak przed burzą. Jakies trzysta metrów przed szczytem Carlo, zmordowany, przysiadł na kamieniu. Może bał się wybuchu? Ale Udałow nie zwracał na niego uwagi. Szczyt był tuż, tuż... Czuł w kieszeni ciężar kuli.

W tym momencie wierzchołek otulił mały szary obłoczek i resztę drogi Korneliusz przebył na oślep. Nie bał się, chęć wypełnienia obowiązku pchała go do przodu.

Carlo siedział pod obłoczkiem, trochę niepokoił się o los radzieckiego turysty i patrzył na cudowną Zatokę Neapolitańską. Myślał, jak cudownie jest chodzić piechotą i jak pożyteczna jest praca fizyczna. W wulkanie coś cicho hurgotało, ale Carlo doszedł do wniosku, że erupcji dzisiaj nie będzie. Madonnie Najwyższej, dzięki!

Rosjanin nie wracał.

- Hej! - krzyknął Carlo. - Gdzie jesteś?

Udałow nie odpowiadał.

W tej właśnie chwili zobaczył przez prześwit w szarej chmurce krater i wrzucił weń kulę. Ciężka kula wpadła w jezioro lawy i zniknęła. Udałow postanowił poczekać - może będzie jakaś wiadomość?

Wiadomości nie było. Pachniało siarką.

- Dotarła? - zapytał Udałow głośno, mając nadzieję, że usłyszą go tubylcze płomieniaki.

Żadnej odpowiedzi.

- Co przekazać naszym? - krzyknął Udałow.

Ale wulkan nie odpowiedział.

I wtedy Udałow zrozumiał, że włoskie płomieniaki po prostu nie rozumieją po rosyjsku.

Krzyknął w stronę Carla:

- Hej! Jesteś tam?!

Usłyszawszy dobiegający z chmury daleki, ale wyraźny głos, student odpowiedział:

- Tu jestem!

- Zapytaj po włosku, czy nie będzie odpowiedzi. Czekam.

- Kogo zapytać? - zdziwił się student.

- Powiedz tym. W wulkanie. Zresztą, gdzie ty, u diabła, jesteś? Chodźże tutaj!

Wtedy student naprawdę się przeraził. Pognał w stronę Udałowa.

- Chodźmy już - powiedział miękko.

- Nie, najpierw zapytaj.

Carlo pomyślał, że kłótnia z takim typem na skraju krateru Wezuwiusza nie jest dobrym pomysłem, i o coś tam po włosku zapytał.

- Źle! - powiedział Udałow. - Głośniej! Żeby słyszeli!

Student wpadł w lekką panikę, ale gromkim głosem ryknął w krater:

- Odpowiedź będzie?! - ryknął oczywiście po włosku...

Ale odpowiedzi mimo to nie było.

Droga powrotna minęła im w milczeniu.

Udałow był głęboko rozczarowany i myślał, że lepiej było kupić żonie modne pantofelki. Carlo także milczał i przysięgał sobie w duszy, że już nigdy nie będzie prowadził radzieckich turystów na szczyt Wezuwiusza.

Na lotnisku w Guslarze Ksenia, nie mająca jeszcze pojęcia, że mąż nie przywiózł żadnych prezentów, witała Korneliusza ciepło, a nawet gorąco. A potem do Udałowa podszedł Grubin i potrząsnąwszy jego spracowaną prawicą, zapytał szeptem:

- No i co? Udało się?

- Wypełniłem swój obowiązek.

Wieczorem, uchodząc przed pretensjami Kseni, która doszła do wniosku, że mąż przehulał całą walutę z pięknymi włoskimi gwiazdami filmowymi, Udałow zszedł do umierającego z ciekawości Grubina.

- Dziwna ta moja żona - powiedział Korneliusz do Grubina. Jakie gwiazdy filmowe mogą się przytrafić turyście?

- Słusznie! - zgodził się prostoduszny Grubin. - Po co miałyby się z tobą zadawać?

- Nie w tym rzecz! - tłumaczył przyjacielowi Udałow. - Może by się i zadały, ale nie było za co. Wszystkie pieniądze wydałem na taksówkę. Pojechałem na Wezuwiusz.

- Czyli wszystko w porządku?

- Obawiam się właśnie, że nie. Nie było odpowiedzi. Wyrzuciłem kupę forsy na darmo. A Maksymce potrzebne są spodnie...

Grubin wysłuchiwał ponurej historii wyprawy Udałowa. Pod oknem rozległ się nagle głos emeryta Łóżkina:

- Grubin! Jest u ciebie Udałow?

- A bo co?

- Ludzie zebrali się w administracji! Chcemy posłuchać, jak nasz przedstawiciel zwiedzał słoneczną Italię...

- Jeszcze tego brakowało... - jęknął zgnębnym głosem Korneliusz. - Przecież ja nawet na tę słoneczną Italię nie patrzyłem. Najpierw się denerwowałem, że ominę Wezuwiusz, a potem, że nie wszystko wyszło jak powinno...

Westchnął ciężko i poszedł opowiadać o Włoszech. Dobrze, że coś tam jeszcze pamiętał z encyklopedii. Największe kłopoty miał, gdy go pytali o sytuację polityczną...

Przez dwa dni Udałow chodził jak chmura gradowa. Z żoną nie rozmawiał. Wystąpił z odczytami w swoim przedsiębiorstwie budowlanym, a potem w szkole nr 1. Na trzeci dzień przywykł już trochę do roli specjalisty od problemów włoskich. Grubin chodził z nim na wszystkie odczyty i też się już zupełnie nieźle znał na Włoszech.

Próbując jakoś ukoić smutki Korneliusza, w sobotę nadmienił coś o łowieniu ryb.

Udałow najpierw odmówił, ale potem przyszli z przedszkola i fabryki garmazeryjnej i zażądali, żeby u nich wystąpił. I Udałow zdecydował, że lepsze ryby niż jeszcze jeden odczyt.

Wczesnym rankiem znaleźli się nad rzeczką.

Ledwie rozłożyli wędki, Korneliusz wyprostował się, wciągnął powietrze, wsłuchał się w biegnące z głębi. Ziemi drzenie i powiedział cicho:

- Zaczyna się...

Grubin podniósł głowę i spojrzał. Nad lasem wznosił się słup dymu. - Erupcja - powiedział uroczyście. Tak uroczyście, jakby to był jego wybuch.

Tym razem wulkan rozwarł się bliżej, nad samym brzegiem rzeki, tak że łatwo było się do niego dostać.

- A co, nie mówiłem?! - wykrzyknął Grubin. - Pokaż mi teraz tych twoich przyjaciół.

- To właśnie oni - powiedział Udałow.

I rzeczywiście, nad szczytem wulkanu w pomarańczowym płomieniu wirowały białe ogniki. Na widok Korneliusza, nie tracąc ani sekundy, ułożyły się w obwarzanek, przypominający literę "D".

Potem z pewnym wysiłkiem zbudowały z siebie zygzak - dwie pałeczki równoległe połączone trzecią skośną. To było podobne do litery "Z". Z literką "I" nie miały większych kłopotów.

Udałow poruszał wargami. Grubin literował głośno: - D... Z... I..

Płomieniaki zebrały się w kupkę, wierciły nerwowo, jakby zapomniały, jaka jest następna litera.

- E - odpowiedział im Grubin.

Płomieniaki złożyły się w "ę".

DZIĘKUJEMY

- Nie ma za co - powiedział cicho Udałow.

Wulkan powoli wygaszał.